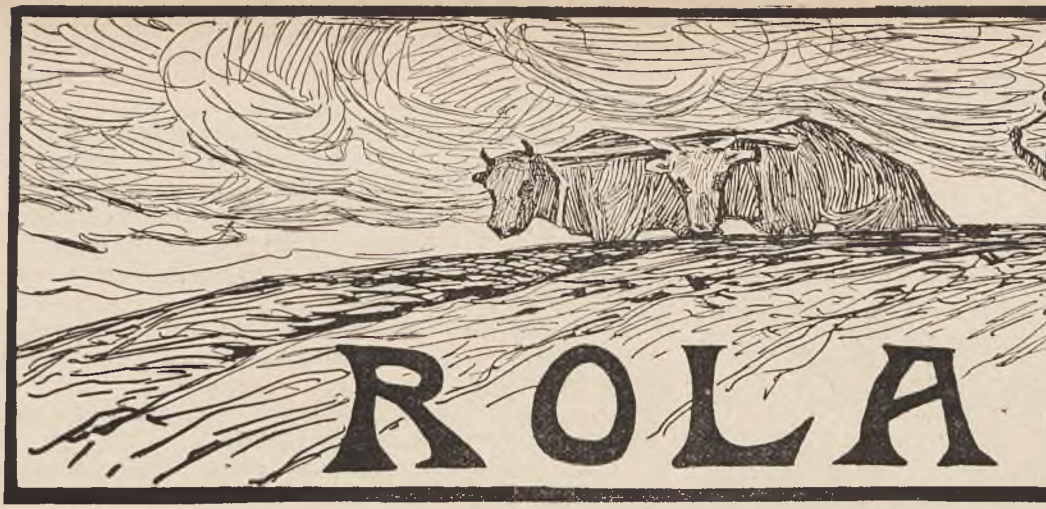


Rok V.
Kraków, dnia 13 sierpnia 1911 r.
Nr. 33.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

DZIEŃ MARYI.

Dzień wstał jasny, pogodny; pola i lasy, ogrody i łąki kwieciste wykąpane nocą w kryształnej rosie, ukazały się w zielonej odświętnej szacie. Kwiaty porozchylały swe delikatne kielichy i napełniły świat przecudną wonią, drzewa rozkołysane przez lekki podmuch wietrzyku, chyliły w pokłonie Stwórcy swe korony, a ukryte w ich gałęziach ptaszki nuciły hymn poranny na cześć Maryi. I cudnie piękny był ten świat.

Jakaś ukojona słodycz i błogość spływała z niebios na tę ziemię i wstępowała do serc ludzkich, które chociaż ostatnie ze wszystkich stworzeń, jednak przejęte wyższem uczuciem, wypowiadały swą wdzięczność w żywych słowach. Pieśń »Zacznijcie wargi nasze...« wypłynęła łagodnie i dźwięcznie z wiejskich chat, a złączona z modlitwą całej natury utworzyła jeden potężny hejnał, który bił aż pod niebo, składając u stóp Matki Bożej w dzień Jej święta wyrazy hołdu i czci od całego stworzenia.

. . . .

W drewnianym, skromnym kościółku wiejskim rozkołysały się dzwony. Z gościńców i ścieżek — z miedz i dróżek polnych, płynie jak fala pobożny ludek, znosząc do świątyni błogosławioną pracę rąk swoich, kłosy złotej pszeniczki i żyta, oraz wonne ziela i barwne kwiaty, wszystko w ofierze Jezusowi i Matce Jego, Królowej niebios.

Rozpoczęła się suma. Ksiądz, staruszek, podnosi monstrancyę i intonuje: »Przed tak wielkim Sakramentem« a lud kornie schylony, nie śmiąc wzroku na Majestat podnieść, śpiewa pełen skruchy »Upadajmy na twarze...« I pada, tarzając się w prochu, bijąc czołem o posadzkę kościoła... on, robak nędzny, kruchy zlepek gliniany; serce rozpiera mu uczucie bezbrzeżnej miłości i wdzięczności dla Boga żywego, utajonego na ołtarzu.

Organy grzmią, dzwony huczą, a dymy kadzielne, zmieszane z wonią ziela i kwiatów, zdają się unosić ten rozmodlony lud gdzieś w obłoki, w zaświaty, gdzie niema cierpienia ani biedy, tylko wiecznie trwająca rozkosz z chwalenia Boga.

. . . .

Msza się skończyła. Kapłan święci ziele, a z tysięcy piersi unosi się pod stropy kościoła pieśń: »Gwiazdo morza«, pieśń jak huragan, której potężne fale głosów trzęsą wątłemi ścianami kościółka, dźwięczą szybami, a przedostawszy się na zewnątrz, rozpływają się, niekrępowane więcej, po ścierniach i nieżżętych jeszcze łanach owsa, ugorach i parowach, a ostatnie jej echa milkną dopiero gdzieś w zakątku leśnym.

Bo też ta poczciwa czeladka Boża jest w uwielbieniu i czci dla Królowej Polski niezmordowana. Czy to roraty, czy majowe nabożeństwo, czy różaniec w październiku, czy jakiekolwiek Jej święto lub rocznica, zawsze kościółek rozbrzmiewa pieśnią na Jej cześć. I raduje się Marya w niebie ze swoich dzieci.

Ot i teraz, ubrana w wieńce i kwiaty, wśród gorejących świec, spogląda w złotej błyszczącej koronie dobrotliwie z ołtarza, zdaje się uśmiechać i cieszyć z tej ochoty wiernych, a maleńki Jezus, podniósłszy rączkę, błogosławi ten lud, kościółek i cały świat... A w świątyni wciąż jeszcze brzmi pieśń, a echo gdzieś powtarza:

»Odwróć od nas głód, mór ciężki,
Zachowaj krwawej wojny;
Użycz zdrowia i żyznych lat,
Racz nam dać wiek spokojny«.

A człowiek, gdy popatrzy na te rozmodlone rzesze, staje się weselszym i lżej się mu robi na sercu, bo widzi, że silną jest wiara nasza i że żadne moce szatańskie nie zdołają jej zwyciężyć. W duszę wstępuje jakaś błoga otucha, że wszelkie zakusy wrogów Kościoła nie zdołają tej wiary z serc naszych wydrzeć.

Rozbójnicze gniazdo.

VI.

Wyprawa do Tatarów. — Spisek dwóch przyjaciół. — Poszukiwanie skarbu. — Dorszak w oknie. — Skarb znaleziony. — Wściekłość Dorszaka. — Spór z żoną. — Tajemnicza narada z Tatianą.

Nieopodal od pasma wzgórz, które opasywały Gródek, ciągnęła się znacznej rozległości płaszczyzna, kilku tylko wąwozami przecięta. Step to był dosyć szeroki, w oddaleniu łysemi pagórkami opasany, spalony od słońca, wyschły, żółty, dziki.... Resztki bujnych na wiosnę traw sterczały łodygami wyschłemi. W stepie mało było śladów życia, gdzieniegdzie niezatarte jeszcze koczowiska tatarskie, pokopane na ogniska jamy, powybijane kołami dziury i ziemia końskiemi kopytami zbita.

O rannej godzinie od strony Gródka zjawił się jeździec na stepie i para chartów za nim; jechał wyciągniętym kłusem, koniowi puściwszy cugle, bez drogi. Koń snać wiedział dokąd ma iść, i zmierzał, czując tabun, ku swoim. Dzień był ciepły, jesienny, a na stepie przypiekało. Coraz bliżej i wyraźniej ukazywało się stado, aż konie poczęły od niego rzeć ku jeźdźcowi a koń im odpowiadał. Jeździec parę razy konia uderzył i w cwał zbliżył się ku tabunowi.

Tabun sobą zakrywał obozowisko u wnijścia wąwozu nad strumieniem. Nędznie ono wyglądało, kilka namiotów z ciemnych wojłoków, ciemnych i małych kilka szatr gałęźmi pokrytych. Gdzieniegdzie, kamieniami otoczone, kurzyły się małe ogniska. Kilkunastu ludzi obdartych włóczyło się dokoła. Po opalonych twarzach, płaskich nosach, oczach wklęsłych, wystających kościach policzków, poznać było łatwo Tatarów, w odzieży brudnej, ze wzrokiem dzikim, przechadzających się jakby koni dozierali. Z namiotu wyjrzał jeden i jakby na żart, dobywszy łuk i z łuba strzałę, zmierzył do jadącego, śmiejąc się zębami białemi. Wycelował, strzałę puścił, około uszu świsnęła. Nie uląkł się jej przecie jadący; konia ścisnął, dopadł namiotów i z kulbaki zeskoczył. Tatarskie psy włochate, z najeżonym włosem, poczęły burczeć, witając się z chartami.

Poza namiotami, które z przodu widać było, stał nieco opodal obszerniejszy i czyściejszy. Ku niemu zmierzał, z konia zsiadłszy, podróżny. Puszczono go bez przeszkody, jak dobrego znajomego. Gdy gość swym cieniem wnijście zasłonił, ze środka chrapliwy głos się odezwał. Odpowiedziano pozdrowieniem. Schylając się wszedł gość, rękę do ust przyłożywszy.

Wnętrze namiotu było podzielone. W pierwszej części, na poduszkach skórzanych, z nogami pod siebie założonemi, siedział mężczyzna czarny, opalony, z głową owiniętą rodzajem zawoju, ubrany w kaftan czerwony, zbrukany.

— Dorszak! — odezwał się.

— No, ja, Murzo*) Szejtanie — rzekł, siadając naprzeciw niego podstarości. — Przybyłem w gościnę.

— My dobrym gościom radzi, a ty dobry gość — począł Murza Szejtan. — Co u was słychać?

— Hm... hm... byłoby co posłuchać — mówił Dorszak — ale trzeba do tego iść powoli. Wam tak nudno w stepie siedzieć!

— Śmierć! — odparł Szejtan — dwóch ludzi zabiłem z nudów, a jeden... jednego mi żal nawet... nikt tak barana nie piekł jak on. — Machnął ręką. — Ludzie gnuśnieją. Żałuję, żem nie poszedł na wojnę. Tu nie ma co robić. Po zamkach się pilnują, wioski puste, daleko w kraj puszczać się, niebezpiecznie.

*) Murza albo mirza, tytuł szlachecki tatarski.

Popatrzyli sobie w oczy, uśmiechając się.

— Ty, ty niedarmo przybyłeś — odezwał się Murza — ty coś wieziesz za nadrą, mów.

— Za nadrą nic, ale tu — wskazał na głowę. — Ale gdyby co dobrego się trafiło, co mi dacie?

— Ty chciwy, tybyś rodzonego brata sprzedał — odezwał się Tatar.

— Jakby mi dobrze zapłacono! — roześmiał się Dorszak. — Wam wiadoma umowa: czwarta część łupu czy okupu, moja.

— Byle ludzi nie tracić, bo ja ich mało mam; dwóch zabiłem i niewielu zostało.

— A nie możecie wziąć sobie pomocy z innego kotła? *)

— I z innymi się dzielić i z tobą!

— Byłby połów dobry i łatwy...

— Mów, zgodzimy się. Kiedy? gdzie? na kogo polowanie?

Dorszak przechylił mu się do ucha.

— U mnie są goście. Żona i córka wielkiego urzędnika polskiego, bogatego pana, kobiety piękne i okup może być dobry.

— Na co okup, kiedy piękne! — zaśmiał się Tatar. — Ja sprzedam je do seraju**) sułtana. — Gdzież one?

— Gdzie? poczekajcie! Ja wam je na granicę od czarnej Bałki***) mogę przyprowadzić. Tam zrobicie zasadzkę. Weźmiecie jak swoje. Stu ludzi, pięćdziesięciu starczy; bronić ich nie będzie komu.

Murza słuchał zdziwiony.

— Ty chyba sam na mnie chcesz uczynić zasadzkę — rzekł. — To nieprawda, ty niewierny psie, kłamiesz!

— Zdradziłem was kiedy? — spytał Dorszak.— Żyjemy z sobą, jak dobrzy przyjaciele, po sąsiedzku.

— O! — roześmiał się Tatar — ty dobry człowiek! o! ty spokojny człowiek! Kiedyż w czarnej bałce zasiąść? mów.

Dorszak zdawał się namyślać.

— Jeśli dzień będzie pogodny, za trzy dni; jeśli słota, w pierwszy dzień pogody.

Tatarowi oczy zaświeciły, w ręce zaczął klaskać. Nadbiegło chłopię. Kazał podać kumysu. Siedzieli w milczeniu i pili rogowemi kubkami. Murza się namyślał, Dorszak dumał.

— Być może — odezwał się — że jaki dzień posiedzicie nadaremnie; a no, warto czatować na połów taki.

— A z mężczyzn?

— Być może kilku.

— Będą się bronili?

— Muszą; ale co zrobią we czterech na pięćdziesięciu lub stu?

— A ty? — zapytał Murza.

— Ja będę; niech twoi do mnie nie strzelają, dam znak świśnięciem, a sam ucieknę — mruczał Dorszak, który po tatarsku mówił dobrze.

— Po zapłatę przyjedziesz na drugi dzień; ja zobaczę kobiety, wiem co u nas która warta.

— Ja wiem, co okupu dać mogą.

Zamilkli. Dorszak zadumany posiedział chwilę. Murza mu fajkę dał i karmić go chciał; ale ten spojrzał ku słońcu i wstał. Jeszcze raz ręce sobie na znak dali. Koń stał u namiotu, psy leżały u nóg jego. Dorszak poskoczył na siodło i nad wieczorem dostał się do Gródka. Nie dojeżdżając do zameczku, mierzył go ciekawemi oczyma. Na moście właśnie stała

*) Kotłami zwali Tatarzy swoje oddziały.

**) Seraj, część mieszkania tureckiego, zajęta przez kobiety.

***) Bałka, wąwóz po tatarsku.

miecznikowa, Jadzia, ksiądz Żudra i Janasz. Rozglądali się stąd po okolicy. Zobaczywszy Dorszaka, jadącego na uznojonym koniu, miecznikowa się odezwała:

— Prawda, że twarz niemiła, głos dziki, wejrzenie ostre, ale człowiek temu nie winien, a daleko lepszy jest, niż wygląda. Obgadano go. Cały dziś dzień widzę okolicę sam, narażając się na niebezpieczeństwo, przetrząsał, aby się przekonać, czy ją bezpiecznie oglądać mogę. Jestem mu za to wdzięczna.

Dorszak zsiadł z konia i czapkę zdjął, witając.

— Objechałem — rzekł — nietylko naszą ziemię, alem się puścił trochę na step i w różne znane mi zakąty. Nigdzie żywej duszy. Tatarów wyciągnęli, włóczęgów ani śladu, spokojnie; mogę powiedzieć, że od dawna nigdyśmy takiej ciszy i spokoju nie mieli.

Miecznikowa wzięła rzecz do namysłu a Dorszak, widząc ją milczącą, poszedł na zamek.

Nazajutrz mgła rozwiesiła się od rana po górach i deszcz prószyć zaczął, a ku południowi lał na dobre i wszystkie plany wycieczki pomieszał i zawiesił.

Wszedł Korczak, ubrany po codziennemu w szarym żupaniku i długich butach, z wesołą jak zawsze twarzą. Miecznikowa, nim mówić zaczęła, skinęła nań, aby za drzwi wyjrzał, czy są sami.

— Choć nic złego, z czembyśmy się kryć potrzebowali nie przedsiębierzemy — rzekła z uśmiechem — jednakże lepiej ludzi nie kusić i uniknąć gadaniny niepotrzebnej. Dziś nikt z was nie wybierze się na przejażdżkę... deszcz leje... miałabym co robić na zamku, ale radabym się do tego wziąć ostrożnie.

Janasz jeszcze o niczem nie wiedział. Dała mu miecznikowa notatkę czytać starą; poszedł z nią do okna. Pismo było blade i zżółkłe, dzień chmurny, nierychło więc sobie z niem dał radę; ale w miarę, jak czytał, lice mu się rozjaśniało.

— Cóż waćpan na to? — zapytała miecznikowa.

— Historya ciekawa i osobliwa! — wykrzyknął Janasz. — Ale pani a dobrodziejko najłaskawsza, jeśli mam cokolwiek wiary i zaufania, na miłość bożą ostrożnymi być musimy! Wszyscy się na to godzą, że Dorszak jest zły człowiek, że chciwy; cóżby to dopiero było, gdyby się dowiedział, że my tu jakie skarby na zamku dobywamy? Samo szukanie już mu da do myślenia.

— Aleć on tu przecież bez mojej wiedzy nie wnijdzie — rzekła pani.

— Zapewne, lecz niedobrze, żeby i ludzie o tem wiedzieli, oprócz Nikity... nie żebym im wiary nie dawał — mówił Janasz — ale po kieliszku wódki, mimowoli się języki rozwiązują.

— Masz słuszność, roztropny jesteś — śmiejąc się, dorzuciła miecznikowa. — Cóż radzisz?

— Naprzód trzeba spenetrować, czy jeszcze co jest, bo od tylu lat, jak ludzie obcy tu gospodarowali, kto wie, czy już dawno miodu nie podebrano — odezwał się Janasz. — W notatce wyraźnie nie stoi nawet, gdzie tego loszku zamurowanego szukać mamy.

— Wczytaj-no się lepiej — odezwała się miecznikowa — u dołu wskazówka osobna.

— A tak! — rzekł Janasz cicho, odczytując pismo stare: »Wszedłszy do lochu przed wieżą, po prawej ręce szyja prowadząca do głębszej piwnicy. Na ścianie jej trzy krzyże wydrapane. Z prawej strony, w środku między dwoma cegła polewana, zyndrówka, którą wyjąć należy«. Nie mogę — dodał Janasz — nikogo do tej roboty użyć, oprócz Nikity. Zawiniemy się tak, aby nas nikt nie widział.

Janasz wyszedł. W sieniach we drzwiach stał znudzony Nikita i ziewał. Korczak go po ramieniu poklepał i dał mu znak, aby z nim szedł.

— Słuchaj Nikita, mamy we dwóch co do roboty, a no tak, aby ludzie nie widzieli. Weźmij tępą siekierę, młot, kawał żelaza jakiego... i chodź ze mną.

Nikicie oczy zaświeciły i rzucił się ochoczo; męczyła go bezczynność. Aby nie dawać pozoru, że w lochu czego szukać mają, kazał Janasz butelki, jakie z sobą przywieźli, znosić do niego Nikicie, a w narzędzia się opatrzyć pokryjomu. Ludziom na dole stojącym dano hasło, ażeby Dorszaka, jeśliby przyszedł, odprawili pod jakimbądź pozorem i nie wpuszczali do środka. Zapaliwszy więc światło i pobrawszy kosze, zeszli zwolna do lochu. Drzwi na wszelki przypadek zamknięto za sobą...

Znalazła się zaraz na prawo szyja i piwnica, zarzucona potłuczonem szkłem i gruzem. Podniósłszy światło, acz z trudnością, dośledził na ścianie Janasz krzyżów i pomiędzy dwoma owej cegły polewanej, zyndrówki, która się zdała wyszczerbioną. Mur wszakże pod nią i nad nią był nienaruszony i pyłem starym okryty.

— W murze zamurowana skrzynka z papierami i rzeczami — szepnął Janasz. — Kawał muru wyjąć trzeba, nie czyniąc hałasu...

Nikita ledwie dosłyszawszy, ze żwawością człowieka chciwego do roboty, porwał się i żelazem cegłę podważył. Zdało się, że nawet na wapnie umocowana nie była, bo zaraz wyszła i ukazał się za nią otwór. Janasz rękę wsunął i namacał skrzynkę.

— Jest! — zawołał z radością — a więc musimy tyle cegieł wyjąć, ile trzeba, aby skrzynię dobyć.

Nikita tylko głową poruszył i już się brał do roboty. Ale dalej szło daleko trudniej, cegły siedziały jak wkute i bić je trzeba było i łamać, aby otwór powiększyć.

W piwnicy u góry, czego zrazu nie uważali, było małe okno kraciaste, wychodzące na podwórze. Janasz podniósł głowę i ujrzał przylepioną do krat czerwoną twarz Dorszaka. Trącił Nikitę, który zaraz roboty zaprzestał.

Dorszak, złapany na szpiegostwie, nie ustępował.

— Co waszmość tam robicie? — zawołał z góry.

— Mamy tu co do schowania — rzekł Janasz — trzeba półkę do muru przybić.

— Che? che? — roześmiał się podstarości; — do schowania? chyba szukacie, czegoście nie zgubili.

I znikł z okna.

Była to przygoda nieszczęśliwa wielce. Nikitę zostawiwszy na dole, Janasz pobiegł sam, zmieszany wielce, do miecznikowej.

— Stało się — rzekł wchodząc — czego przewidzieć było niepodobna. Skrzynka jest na swojem miejscu, pełna czy pusta, tego nie wiem jeszcze, lecz Dorszak nas z góry przez okno podpatrzył, snać posłyszał stukanie.

— Jakbyśmy to u siebie w domu nie byli i nie odzyskiwali swojej własności — zawołała pani Zbońska. — Więc cóż? niema co się taić.

— Dobywać? — spytał Janaszek.

— To się rozumie. Teraz już czynić tajemnicę, stokroć byłoby gorzej.

Wrócił więc Korczak do lochu. Zbiegając na dół, we drzwiach dolnych ujrzał stojącego Dorszaka, którego nie wpuszczono.

— Panie Korczak! — krzyknął zagniewany podstarości — czy to ja już za obcego i nieprzyjaciela jestem miany, że mi przystęp wzbroniony?

— A czegoż pan życzysz sobie?

— To piękne pytanie! chcę wnijść.

— Ale miecznikowa w tej chwili widzieć cię nie może...

— Ja też nie chcę.

— Z kimże pan się widzieć pragniesz? — pytał Korczak.

— Z tem, co panowie na dole dobywacie — z uśmiechem wtrącił Dorszak.

Janasz ruszył ramionami.

— Niema tam nic ciekawego.

— Ja myślę przeciwnie, kiedy miecznikowa aż tu jechała umyślnie, ażeby się temu zbliska przypatrzeć. Bo teraz przyjazd jej rozumiem.

— Nie rozumiem nic — odparł Janasz — a że czasu nie mam, przebaczysz mi waszmość.

To rzekłszy począł schodkami spuszczać się na dół, a podstarości widząc, że nic nie utarguje, odszedł gniewny. Janasz zastał Nikitę uznojonego, wyłom w murze znaczny, a przez otwór widną już dosyć skrzynkę, a raczej kufer okuty, pyłem, pleśnią i pajęczynami okryty, którego żelaztwo rudą rdzą było osute. Nie zważając już na to, czy ich kto podpatruje czy nie, podstawiwszy cegły pod nogi, przystąpili obaj do dźwignięcia skrzyni, lecz na dwóch była za ciężka, a przytem od stania długiego jakby do muru przyrosła. Musieli więc różnych używać środków do podważenia jej i ściągnięcia na dół powoli.

Nierychło, namęczywszy się i upociwszy, mogli ją wreszcie na ziemi postawić. Żelazo pokruszone, drzewo spróchniałe, sypało się wszystko. Na schody ją dźwigać nie było sposobu, poszedł więc Janasz po panią i na dół ją z Jadwisią sprowadził. Kluczów nie było, zamki więc musiano odbijać, ale to łatwo przyszło. Skrzynia wewnątrz okazała się nietknięta, pełna, a choć wiele rzeczy było popsutych długiem leżeniem, złoto, klejnoty i oręż kosztowny nie ucierpiały wcale.

Miecznikowa rada była niezmiernie. Jadzia ciekawa chwytała wszystko. Przywłaszczyła sobie różaniec stary i pas równie dawny, który jej matka chętnie oddała. Resztę rzeczy Nikita z Janaszem przenieśli na górę, a pustą skrzynię, oczyściwszy do dna, zostawiono w loszku.

W Dorszaku ta myśl, że się tam w lochu mogło coś ukrywać, o czem on przez lat tyle nic nie wiedział, że on tu strzegł cudzego skarbu, który tak łatwo mógł sobie przywłaszczyć, czyniła wrażenie niewysłowione. Na samą tę myśl burzył się z gniewu i zębami zgrzytał. Rozumiał teraz w istocie, dlaczego tu miecznikowa przybyła, i nie mógł sobie przebaczyć, że nigdy po zamku, ani w lochach nie szperał.

Gdy pod wrażeniem tego nieszczęścia wszedł do izby, w której żona jego wyszywała, ta poznała zaraz, iż mu się coś stać musiało. Zęby miał obnażone z pod warg podniesionych, oczy wyskakiwały, ręce drżały.

— A to baba piekielna ze swym dworem przeklętym! niegłupia i niedarmo się tu wlekła! Teraz już rozumiem wszystko! Doszli, że tu skarb zamurowany na zamku! Któż się tego mógł domyślać? Przyszli jak po swoje i wydarli mi go. Miałem tyle lat czasu, mogłem wszystkie mury powybijać... ale kiedy komu nie szczęści się, to się już nie wiedzie w niczem...

Opamiętawszy się, skończył mruczeniem. Złość całą w sobie stłumił. Począł wołać Tatiany. Weszła owa otyła kobieta, ocierając się fartuchem.

— Słyszysz! — rzekł — odziej mi się zaraz, weź owoców, miodu na talerz i nieś do miecznikowej na górę. Ale żebyś mi oko i ucho miała na wszystko co robią, co na stole leży? Powracaj mi zaraz...

Tatiana znikła, bo jej poselstwo, za które mogła otrzymać podarek, było pożądane. Dorszak wziął się do cybucha i fajki. Żona szyła w milczeniu. Nie spojrzał już nawet na nią.

Dobre pół godziny upłynęło, nim Tatiana, odziana od święta, w spódnicy z galonami, w chustce na głowie, w fartuchu białym, w koralach, stanęła znowu w progu. Dorszak się podniósł. Tatiana głową kiwać poczęła.

— Co ja tam widziała! — rzekła, biorąc się ręką za twarz — co ja tam widziała! Oni mnie się nie spodziewali, drzwi były odemknięte, aż się wezdrgnęli, gdym weszła. Zaraz pani dała mi dwa tynfy i odprawiła, ale mnie dosyć było rzucić okiem. — A, panie! paneczku! oni z sobą skarby świata tu przywieźli... pełne skrzynie złota... Klejnotów i złota stoły pełne i skrzynki. Jejmość, jej panna, ksiądz i ten młody grzebali w tem. Jakem weszła, to gdyby złodzieje na uczynku schwytani, zmieszali się.

— A no, dosyć — zawołał Dorszak — ja już wiem swoje i będę teraz myślał, co począć.

Agafia nagle przestała szyć, chustka jej i ręce na kolana opadły. Jak martwa, bez drgnienia, pozostała czas jakiś zatopiona w zadumie. Dorszak chodził po izbie, posłyszał szelest jej sukni, gdy nareszcie wstać chciała, i stanął.

— Słuchaj ty, babo! — zawołał — my między sobą mamy rachunki. Ty mnie zdradzasz. Dwa razy cię złapałem na rozmowie z tym młokosem.

— Tak, tak — głosem śmiałym poczęła Agafia — i jeśli będę mogła, to ich obronię, bo ci nie dam popełnić ani jednej zbrodni więcej.

Dorszak podbiegł ku niej; ona rękę włożyła za pas i dobyła nóż, który nosiła zawsze przy sobie.

— Nie dotykaj mnie, bo zabiję! — krzyknęła — zabiję i nie będę miała na sumieniu! bo lepiej, ażebyś nie żył, bo wolałabym cię widzieć na marach, niż... — Myślisz, że nie wiem, gdzieś był wczoraj? U Szejtana, u druha! Myślisz, że nie zgaduję po co?

Dorszak cały drżał, ale walczył z sobą, nie chciał ani bójki w zamku przy obcych, ani do ostatka rozdrażniać żony. Usta jego rzucały stłumionemi przekleństwami, głowę opuścił, myślał długo i snać coś postanowił, bo nagle uspokoił się i podparł na łokciu, jakby już nie zważając na Agafię.

Ta popatrzyła nań i wyszła. Wkrótce potem Dorszak zbiegł ze schodów. W dolnej sieni parę razy się przeszedł i Horpynę przechodzącą posłał po Tatianę, która zeszła na dół.

— Ta wilczyca mię zabija, ona mię zgubi — rzekł stłumionym głosem Dorszak. — Trzeba się ratować.

Dorszak odprowadził kobietę do kąta i gwałtownie, szybko, szeptać zaczął. Zrazu kobieta kołysała głową, niepewna będąc, co ma czynić; nareszcie, gdy począł nastawać, zdawali się godzić ze sobą. Spuściła oczy ku ziemi i poszła powoli. Raz i drugi odwołał ją, dodając jakieś ciche przestrogi.

Dorszak mimo deszczu wybiegł z domu na miasteczko.

Gdy z miasteczka wrócił, czekała nań na schodach Tatiana blada i zamyślona. Poszeptali coś ze sobą. Czoło mu się rozjaśniło; śmiało wszedł do izby. Agafii już nie było, nie było jej też w jej izbie, ani w żadnej na górze.

Na zamku od tej chwili jej nie widziano. Miecznikowej oświadczył podstarości, że żona jego do chorego ojca nocą wyruszyć musiała, i westchnął nad tem, że jej nie mógł towarzyszyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DO STÓP MARYI.

Gdzież te wszystkie ludzkie troski,
Ludzkie szczęścia i nadzieje
Kres swój mają?... — W mogile.
Długoż człowiek walczyć, kochać,
Cierpieć, marzyć i przeklinać
Los swój będzie?... — Przez chwilę.

Oj, przeminie w walce z losem
Wiosna, lato, jesień, zima,
Całe życie — tak sobie,
A burz życia uciszenie,
A mąk serca zakończenie
Znajdzie człowiek... aż w grobie.

Krótkie życie! biedne życie
Wnet przeminie i zaginie
Pamięć ludzka o tobie,
Gdy raz głowę skołataną,
Gdy pierś bolem potrzaskaną
Złożysz w zimnym tym grobie.

Przebrzmi sława, zcichną gody,
Skończy stary, zemrze młody,
I tak życia koleje
Pierzchną, znikną — jak mgła ranna,
Jako bańka ta mydlana
Prysną człeka nadzieje!

I co cieszy i co boli,
Pamięć złej i dobrej doli
Na wiek wieków zaginie;
Nasze dzieje i nadzieje
Czas zasnuje, wiatr rozwieje,
Wszystko zgoła przeminie;

I co wielkie i co dzielne,
Zginie wszystko, co śmiertelne,
Gdy śmierć zdmuchnie powieki;
Lecz nie zginie, lecz trwać będzie,
Nie przeminie, lecz żyć będzie
Imię Polski — na wieki!

Po co nasze tu istnienie?
Jaki cel i przeznaczenie?
Po co żyjem na tym świecie?
Czemu Bóg do życia budzi?
Po co stworzył świat i ludzi
Nie odgadnie nikt przecie...

Zemrze to, co się ulągnie!
Lada chwila śmierć pociągnie
Ostrą kosą po szyi...
A duch ludzki zmordowany
Zerwie pęta i kajdany,
Padnie... do stóp Maryi!

Jacek Obrochta.

Posłowie włościańscy do Rady państwa.

(Ciąg dalszy).



Jan Zamorski
(narod. demokrata).



Bron. Osuchowski
(konserwatysta).



Andrzej Kędzior
(ludowiec).



Jan Potoczek
(centrowiec).



Andrzej Średniawski
(ludowiec).



Jan Zarański
(demokrata).



Adam Ruebenbauer
(ludowiec).



Dr. J. Ptaś
(narod. demokrata).

Na Wniebowzięcie Królowej Niebios.

Gdy się czas zbliżył oczekiwany,
Do swych Aniołów rzekł Pan nad Pany,
By Matkę Jego z ziemi przynieśli,
Z wielkim tryumfem do nieba wnieśli.

Więc przylecieli święci Posłowie,
Święci Duchowie: Archaniołowie,
Rzekli do Maryi schylając czoła:
„Wstań nasza Matko, bo Cię Syn woła!“

Na wóz niebiański Ją posadzili,
Jako Królowę z czcią otoczyli,
Śpiewając pienia i sypiąc kwiaty —
I ulecieli z Maryą w nadświaty...

Już niebo wyszło na Jej spotkanie
Z śpiewem, muzyką Pani nad Panie —
Lecz której pióro opisać zdoła,
Jaka tam radość była dokoła?

Najświętsza Trójca Ją koronuje
Wielką Królową Niebios mianuje —
Jako muzyki śliczne akordy,
Niebo się słania, bijąc Jej hołdy...

A kiedy przyszli Apostołowie
Już nie znaleźli Maryi — uczniowie,
Prócz kwiatów, woni i prześcieradło,
A na ten widok lice Ich zbladło.

I patrząc w niebo sercem stęsknionem
I ze wzruszenia licem zmienionem,
Długo tak w niebo, długo patrzeli,
Aż stąd anielski śpiew usłyszeli...

Maryo Panno Niepokalana!
Nie jesteś żadnym grzechem zmazana;
Ratuj nas w ciężkiej życia rozterce,
Bo się nam ciągle zakrwawia serce!

Tu Polska jęczy w kajdanach srogich:
Wybaw nas, Pani, z rąk wrogów mnogich,
Boś Ty Królową Polski została,
Kiedy nas szwedzka gniotła nawała!!

W Poczęciu Swojem Niepokalana!
Tyś jest „Ucieczką grzesznych“ nazwana;
Największym grzesznym dłoń Swą podajesz,
Gdy widzisz chęci, łaski rozdajesz.

Tyś Pośredniczką w górnym Syonie,
Ku nam miłością serce Twe płonie;
Bądź nam pomocą w każdej godzinie,
Dopóki życie nasze nie minie!

Bądź nam puklerzem i tarczą mocną,
Daj nam wytrwałość w walce pomocną,
Byśmy z tej walki w tryumfie wyszli,
Z znakiem zwycięztwa do Ciebie przyszli!...

Adam Jesionek.

Gawędy o Różnych Sprawach.

Nieco o emigracyi.

Jednym z objawów ciężkiego położenia Polaków jest emigracya. Wiemy przecie, że nas z wszystkich stron Prusacy, Moskale i żydzi nękają i skubią; potrzeba nam więc tem więcej siły, aby naszym wrogom stawić czoło a w chwili nie do zniesienia, gdy będą za bardzo kąsać, uzbroić jak najwięcej rąk do obrony. Tymczasem wskutek wychodźtwa naród nasz nie tak się rozrasta, jak powinien. Wprawdzie w obcych krajach niejedni czują się Polakami, bo i sami pielęgnują polską mowę i kulturę i dzieci wychowują na dzielnych Polaków, to przecież nie mogą oni służyć naszej znękanej ojczyźnie tak dobrze jak wtedy, gdyby pozostali w kraju. Jednak emigracya jest do pewnego stopnia złem koniecznem, bo skoro w kraju nie dla wszystkich jest zarobek, a żyć trzeba, to musi się szukać środków do życia tam, gdzie one są. Lecz emigranci są tylko o tyle dobrymi Polakami, jeżeli zawsze pamiętają o swoim kraju, zarobku swego nie tracą za granicą, lecz go przysyłają do domu i zarobiwszy pieniądze powracają do kraju na własne gospodarstwo.

Właśnie jeden z uczonych obliczył, ile to osób emigruje z całej Austryi do Ameryki. Uczony ten przyszedł do przekonania, że w ostatnich latach wychodźtwo przybiera rozmiary zgoła nieznane dawniej. Na podstawie obliczeń wykazuje, że w ogólnej liczbie ludności, emigrującej do Stanów Zjednoczonych z całego świata, wychodźcy Austro-Węgier stanowią czwartą część, to jest, że przeciętnie 350 tysięcy osób emigruje corocznie z Austro-Węgier do Ameryki, najwięcej zaś ze wszystkich narodów emigrują Polacy, potem idą za nimi Słoweńcy, Chorwaci a wkońcu Niemcy. W ostatnich 9 latach monarchia austryacko-węgierska przekazała Stanom Zjednoczonym niemniej jak 2 miliony swych obywateli. Jest dla nas małą pociechą, że i żydzi emigrują też z Austryi i Galicyi bardzo licznie, lecz powinni oni emigrować jeszcze dziesięć razy liczniej, to wtedy dla nas Polaków w kraju byłoby więcej miejsca.

Najwięcej żydów emigrantów, bo więcej niż połowa (60 proc.) osiedliło się w Stanie N. Jorku. — Przesiąknięcie poszczególnych stanów emigrantami rozmaitych narodowości jest tak znaczne, że n. p. North Dakota, Minnesota i Wisconsin wykazują ponad 70 proc., cztery inne stany ponad 60 procent, a 14 dalszych stanów ponad 50 proc. ludności napływowej. Największą absolutną cyfrę emigrantów z Austro-Węgier wykazują stany: Nowojorski (144.620), Pensylwania (137.515) i Illinois (7689). Ogólna liczba osób zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych a przynależnych do monarchii austro-węgierskiej wynosi 3,600.000 osób.

Co się tyczy Polaków, znajdujących się nietylko w Stanach Zjednoczonych, ale w całej Ameryce, to liczba ich wynosi dotąd przeszło 4 miliony. Jest to już ludność tak wielka, jak niektórych państw Europy n. p.: Bułgaryi, Szwajcaryi, Szwecyi a dwa razy liczniejsza niż Danii lub Norwegii. Gdybyśmy byli w Ameryce uświadomieni narodowo i zorganizowani w związki narodowe i ekonomiczne, tobyśmy stanowili potęgę, z którąby się musiano poważnie liczyć.

Amerykanie obawiają się tak wielkiego przypływu obcych gości i kosztem 5 milionów dolarów stworzyli komisyę emigracyjną, która między innemi dąży do wynarodowienia przybyłych Słowian za pomocą przymusu szkolnego.

ŚWIĘCENIE ZIELA.



Do najbardziej umiłowanych świąt przez nas należy święto Wniebowzięcia Maryi Panny. Święto to wesołe i miłe. Przeminęły wszelkie niebezpieczeństwa, jakie przynieść mogły grady i ulewy na bujne zboża pól naszych, to też wdzięczni za zbiory niesiemy kłosy pszenicy i żyta, niesiemy zioła przeróżne do stóp Maryi, aby je tam poświęcić i prosić o dalszą opiekę nad naszemi polami. — Dawniej, a gdzieniegdzie i dziś jeszcze, w dniu tym zwijano piękne wieńce z złotych kłosów pszenicy i przystrajano je wstęgami i barwnemi świecidełkami i wieziono do kościoła w celu poświęcenia. Piękny to był zwyczaj, ale takie »wieńcowiny« kończyły się często hulankami i pijatyką, przez co niektórzy biskupi zakazali święcenia »wieńców«, aby przeszkodzić zgorszeniu.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

VI. Tajemniczy zegar.

Wyszedłem, ale zamiast na taras, ruszyłem wprost do siebie. Otworzyłem okno i nie zapalając wcale światła, usiadłem, napawając się świeżością i chłodem letniego wieczoru. Noc była cudowna, jedna z tych nocy tak częstych u nas w lecie, cicha, a jednak pełna gwaru i życia. Księżyc, przedzierając się przez liście drzew ogrodu, rzucał długie pasma światła do mego pokoju. Począłem rozmyślać nad szczególnem mojem położeniem w tym domu, gdzie w ciągu jednego dnia, nie pragnąc tego wcale, nie szukając, dowiedziałem się o jakichś tajemnicach, gdzie wkońcu mimowolnie porobiłem sobie nieprzyjaciół. Bo że Hiszpan jest moim nieprzyjacielem, to nie ulega najmniejszej kwestyi, ciocia także zdaje się niezbyt dobrem na mnie patrzy okiem, a od dzisiejszej wieczornej sceny przy miodzie, zapewne i regimentarz i panna Marya nie będą mieli o mnie dobrej opinii.

— Trzeba mojego szczęścia — rzekłem — żeby w ciągu jednego dnia narobić tylu nieprzyjaciół.

Ale wszystko to jest niczem w porównaniu z owemi tajemnicami, sięgającemi dwóch wieków, o których się dowiedziałem, które mię dręczą, jak zmorami ogarniają cały umysł, o niczem innem nie dają mi myśleć. Wreszcie cóż ja wiem? Że istnieje w pałacu, niedaleko mnie, pokój nazwany »Sułtańską komnatą«, nazwany zapewne tak dlatego, że przed dwustu kilkudziesięciu laty mieszkała w nim jakaś Sułtanka, ta sama, której zwłoki leżą na cmentarzu kościółka i której pomnik w sto lat później wystawił jakiś cześnik, prawdopodobnie Bogdański, jeden z przodków mego gospodarza. Ot i wszystko, co wiem — ach! nie wszystko! — wiem, że owa Sułtanka, poganka, jak ją zwie wachmistrz, straszy — osobliwie w noc świętojańską, to jest w datę swej śmierci.

— Czyż to wszystko, — mówiłem sobie — ma jakie znaczenie? żadnego. Bardzo być może, że w tym gmachu, który jest stary, mieszka Sułtanka... ale cóż mnie to obchodzi, co mnie do tego?

Stawiałem sobie takie pytanie i odpowiadałem:

— Nic cię to nie obchodzi i nie powinno cię obchodzić — ale zważ, co za dziwny zbieg okoliczności: ta zgodność dat śmierci i tradycyi ludowej. Dlaczego ów cześnik w sto lat po jej śmierci, tego samego dnia stawia jej pomnik?... Jakaż więc straszna historya rozegrała się w tym domu odwiecznym?

Spojrzałem po mym pokoju, był ciemny, tylko na posadzkę padał snop księżycowego światła. Zabobonną trwogą jakąś zdjęty, której się wstydzę, porwałem się i zapaliłem świecę. Siadłem znów dumać, nie mogąc ani na chwilę pozbyć się tych myśli o Sułtance i jej grobie. Rozpamiętując czynności całego dnia, nagle przypomniałem sobie o rubinie wezyrskim, jak go nazwał regimentarz.

— Dwa razy dziś słyszałem o tym rubinie, raz od Hiszpana, który twierdzi, że takowy znajduje się w »Sułtańskiej komnacie«, a drugi raz od regimentarza, któremu już kością w gardle stoi. Co znaczy ten rubin wezyrski w Sułtańskiej komnacie? Co znaczy wkońcu ta cała tureccczyzna?

W tej chwili usłyszałem jak najwyraźniej wśród ciszy nocnej zegar, bijący godzinę jedynastą, za jedną ze ścian mego pokoju. Oczywiście musi on stać w sąsiednim albo najdalej w trzecim odemnie pokoju. Zegar był widocznie stary, bo oprócz ponurego spiżowego dźwięku, właściwego starym zegarom, piszczał i skowyczał niemiłosiernie. Dźwięk ten drżał, jęczał długo, powoli, bo zegarzysko z mozołem i trudem wydzwaniało widocznie swe godziny, napełniając dziwnie posępnym i ponurym odgłosem ciszę i samotność, jaka mnie otaczała.

Zdawało mi się, że stare groby się otwierają i wychodzą z nich strojni rycerze, że porosła zielskiem mogiła sułtanki rozpada się na bryły... Z zewnątrz nie dochodził mię żaden odgłos, oprócz dalekiego skrzeczenia żab gdzieś na moczarze. Porwałem się na równe nogi i czułem, że mi włosy na głowie powstają i zimny pot oblewa czoło. Stałem jak zasłuchany w te posępne dźwięki, w ten jęk złowrogi zegara, który skończył już, a głos jego drżał jeszcze w powietrzu. Dziwna, niepojęta trwoga mię ogarnęła, jakiej nigdy w życiu nie doznałem, choć byłem żołnierzem, który śmiało patrzył śmierci w oczy. Szczęściem wszedł w tej chwili mój ordynans Antek, z miną jak najlepszą i uśmiechem na ustach.



...Szczęściem wszedł Antek.

— Gdzie ty hultaju się włóczysz? — wsiadłem na niego — jedenasta godzina, ciebie niema.

— Ej, proszę pana — odrzekł — przecież musiałem to i owo zobaczyć, za poznać się z owym naszym placem boju. Już to ja powiem panu — prawił dalej, nie dając mi przyjść do słowa — że choć z jednej strony będzie nam tu nieźle, to z drugiej wcale nie jestem kontent, i gdybym tak był porucznikiem, tobym napisał do rotmistrza, żeby gdzieindziej kwatery wyznaczył.

— A to dlaczego? — spytałem, siadając i kontent w duszy, że mam Antka przy sobie, który chociaż był hultaj jakich mało, ale zuch i przywiązany.

— Hm! dlaczego? a przynajmniej powiedziałbym temu tam panu regimentarzowi — jak żyję nie słyszałem, żeby się kto regimentarz nazywał... otóż powiedziałbym mu: mój panie regimentarzu, daj ty mnie kwaterę gdzieindziej, choćby w oficynie.

— Alboż mnie tu źle, pokój duży, wygodny, jest i antykamera...

— Tak to prawda, proszę pana, tylko że tu na tem piętrze straszy...

— Głupi jesteś, mój Antek.

— Jak Boga kocham, panie, straszy — i cóż pan myśli, że tu kto mieszka na całem piętrze oprócz nas? oho! jeśli pan tak myśli, to się pan grubo myli. Żywej duszy tu niema, tylko nas dwóch i żeby nie pan, panie poruczniku, tobym stąd na noc taką nogę urządził, żebym się nie oparł, aż...

— W garderobie, prawda?

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się — a powiem panu, że tu jest parę ładnych dziewcząt, szczególniej

jedna, Zuzia, garderobiana panny Julii, krew z mlekiem, a ślipkami jak mruga, niech mię dyabli wezmą!

— Jużeś się z nią zapoznał?

— A cóż miałem robić, człowiek przecie musi żyć, proszę pana. Ale cóż, kiedy tu jest ochmistrzyni, panna Bobińska, trochę stara, bo ma koło czterdziestki, ale okrąglutka, tłuściutka, aż miło. Jest ona ochmistrzynią i gospodynią zarazem, ma pod swym kluczem spiżarnię; hm! a w spiżarni same specyały, jużem tam był, co za wódeczki! jakie pierniki, konfitury, panie, zobaczywszy to, o małom nie zemdlał.

Śmiałem się do rozpuku.

— Otóż panie, baba ta trzyma wszystkie garderobiane i dziewczęta dworskie ogromnie ostro. Rózgi nawet sypie, jak nic... Heród baba, grenadyer, ale umię ja do niej trafić — cmoknąłem ją kilka razy w pulchną łapę, kłaniam się jej pokornie, mówię mościa panno, no i głupia gęś dała się wziąć na muchę. I tym sposobem zapoznałem się dobrze z Zuzią, w której, powiem panu szczerze, jestem rozkochany.

— Ale ja myślę, że tobie bardziej idzie o spiżarnię, niż o Zuzię...

— He! he! he! — zaśmiał się — prawdę powiedziawszy, to mi tam i o spiżarnię idzie trochę; aaa! jakie nalewki! jarzębówka, panie, naprzykład, specyał, nektar boski!...

Mówił to wszystko, ścieląc mi łóżko i rozbierając mię. Zaznaczyć tu należy, że Antek, bywając w Warszawie bardzo często w teatrze, nauczył się takich wyrazów jak nektar, specyał i t. p., których zresztą zawsze trafnie używał.

— I ta Zuzia jest garderobianą panny Julii? — spytałem.

— Tak, proszę pana — hm! powiem panu, że ta panna Julia, śliczna panna — prawił tonem szczerego przekonania, poważnie.

— Podobała ci się?

— A naturalnie, znam się przecież na piękności kobiet, a bo to w Warszawie ładna twarzyczka rzadkość, czy co? Otóż, panie, w pokoju panny Barbary, bo tak na imię ochmistrzyni, wisi na kołku w kącie cały pęk kluczy z kartkami, na których są popisane nazwiska pokojów tutaj na pierwszem piętrze. Kiedym więc do niej przyszedł, prosząc, żeby mi dała drugi klucz do naszej kwatery, rzekła mi: Poszukaj go sobie między kluczami, panie ułanie, jest przy nim kartka z napisem: »pokój błękitny«. Szukam tedy i czytam owe napisy. Patrzę »pokój sułtański« — a to osobliwsze nazwisko, myślę sobie. Może tu sułtan turecki stał kiedy kwaterą — więc pytam się o to panny Barbary, a ona powiada: Dziwi mię bardzo, że dano kwaterę panu porucznikowi na pierwszem piętrze, tam już, jak zapamiętam, nikt nie mieszka. Hm! myślę sobie, coś nowego. Dlaczegóż to nikt nie mieszka? Obejrzała się panna Barbara i rzeknie mi cicho: No, pan jesteś żołnierz, to ci tam wszystko jedno, ale powiem pod sekretem, że tam straszy, osobliwie w tej sułtańskiej komnacie, którą tylko jeden pokoik oddziela od waszego...

— Jakto jeden pokoik? — spytałem i przyszedł mi zaraz na myśl ten dziwny zegar, co bił niedawno godzinę jedenastą.

— Tak, proszę pana, jeden pokoik. Jak się dowiedziałem o tem, ciarki mię przeszły, bo nie lubię strachów i pytam: A dlaczegoż nam dano tam kwaterę? Czy ja wiem — mówi panna Barbara — tak chciał pan markiz... pan wie, ten chudy, Hiszpan czy Węgier, co tu siedzi i mieszka w oficynie.

Położyłem się do łóżka i rzekłem:

— Cóż z tego wszystkiego! głupstwa, babskie gadaniny, torby sieczki niewarte, idź spać i obudź mię jutro o piątej rano, musztra będzie.

Ale zasnąć nie mogłem. Myśl za myślą tłoczyła mi się do głowy. Dlaczego Hiszpan wyznaczył mi kwaterę przy owej tajemniczej »sułtańskiej komnacie«? co on tu robi w chwili kiedy kraj jego walczy o swoją wolność? dlaczego mię szpieguje? jaki wpływ wywiera na mieszkańców dworu, kiedy od jego rozporządzenia zależy wyznaczenie kwater? co znaczy owa historya rubinu i nieszczęście, jakie on sprowadza na rodzinę Bogdańskich? co znaczą ci Pandurowie i ów skrypt, o którego podpis tak chodziło regimentarzowi i Hiszpanowi?..

Gubiłem się w domysłach i do żadnego wniosku nie doszedłem. Wkońcu rzekłem sobie:

— Co mię to wszystko obchodzi! spijmy.

Ale ów zegar straszny zaczął znów wydzwaniać północ. Teraz przekonałem się, że nie może on być w sąsiednim pokoju, tylko dalej nieco, zapewne w »sułtańskiej komnacie«. Ale jeżeli tam, jak twierdzi Hiszpan, nikt z mieszkańców nie chodzi, choćby mu góry złota dawać, to jakim sposobem ten zegar idzie i bije godziny?...

— Coś tu jest strasznego w tym starym dworze!...

Antek, śpiący w antykamerze, usłyszał zegar i mruczał:

— Niech dyabli wezmą takie zegary, po kiego licha ich trzymać w domu, spać tylko nie dają.

Przewrócił się na drugi bok i zasnął. Ja położyłem sobie na stole przy łóżku szablę i nabite pistolety i wkrótce także zasnąłem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Mojej kochanej Jani Stawiarczykównie.

Marzenie miłosne.

Siedzę i dumam przy świetle księżyca,
Tęsknota jakaś ogarnia mię wkoło
Tak, jakby jaka blada upiorzyca,
Siadła uparcie na me zimne czoło.

Siedzę... pomału godziny mi płyną,
Jedna za drugą idą żółwim krokiem,
A ja już chciałbym przy Tobie Janino
Być i cieszyć się już Twoim widokiem.

Już chciałbym spijać z ust Twoich nektary,
Już cię przytulić do swojego łona,
Bo Ciebie kocham nad życie, bez miary,
Ty mój aniele Boski! Ty wyśniona.

I ciągle marzę i czekam tej chwili,
Kiedy nam kapłan ręce stułą zwiąże
Czekam tak długo, a serce me kwili,
Bo mi się zdaje, że pomału dąże...

Noc taka cicha, na niebie ni chmurki,
Tylko księżyca twarz po niebie płynie,
Srebrząc mi lasy, pola i pagórki,
A ja szczęśliwy marzę o Janinie!...

Marzę, a jednak mnie jakieś zwątpienie
Czasem ogarnia, czy mam wierzyć Tobie,
Czy to Twe święte takie przyrzeczenie
Nie wcześniej skona, czy dopiero w grobie.

Marzę i widzę Ciebie w aureoli,
Jakby królowa z hebanowym włosem,
Że spływasz do mnie z chmury na gondoli,
Śpiewasz tęsknocie mej, pociechy głosem...

Widzę Cię, moja najdroższa Janino,
Na złotym tronie wśród woniących kwiatów,
Tak mi się zdaje, żeś Panią jedyną
Mojego serca; całego Wszechświatu...

Tyś moja! Tak, do grobu moją będziesz wiecznie,
Ciebiebym za nic nie dał, ni za skarby świata,
Bo mi świecisz w mem życiu tak cudnie, słonecznie,
Duch Twój jak gołębica ponademną lata...

Robert Rydz.



Słuśnie powiadają ludzie, ze jedno i to samo nie zawse bywa jedno i to samo. Kuzda rzec zalezy od tego, kto, co, gdzie i ja ją robi, a gdy się to wszyćko dokumentnie rozwazy, to dopiro się wie, kto, co, gdzie i jak zrobił.

Weźmy na ten przykład odpust!... Bartek myśli, ze jak kto idzie na odpust, to po to, aby się tam pomodlić, Pana Jezusa o łaski poprosić, z grzysysków się ochędozyć, i do chałpy porządniejsem wrócić.

Tak myśli Bartek, ale to wszyćko nie prawda, bo takich ludzi na odpuście, to niewiela, a reśta to sami inaksi i gorsi.

W tamtą środę powiada do mnie Kaśka:

— Cichajze Maciuś! Dzisiok w Kalwaryji odpust, uchyć gospodynię pod nogi i chodź ze mną na niego.

— Wiis! — padam — zachciało się babie wczorajsej kapusty! I po cóz ty tam zatracona polizies? Cy tu ni mas swego kościółka, zeby pacirz zmówić, cy cię tu z grzysysków jegomość nie wysłuchają? Pocóz ci się włócyć po Kalwaryjach i cas tracić?...

— Hale! — pada Kaśka — ale na odpuście to się róznościom mozna napatrzyć i niejedną gęby zuźryć, której bez cały rok w nasym kościele nie zuźry. A przytem to i ty mi jakiego piernika przecie kupis.

— Eche! — myślę se — zjis ty grzycha, niem ja ci piernika kupię! Cheba byłbym głupi, zebym na takie byleco grajcary wydawał i to jesce la baby. Jakbym miał kupować, to juzbym wolał śtync kiełbasy, albo skrętkę tutonu.

Ale jak się baba uprze, to na to ani laga, ani święcona woda nie pomoze; musis to zrobić, co się jej zachce i dopiro wtedy będzies miał spokój. Bez to i ja wybrałem się na odpust do Kalwaryje.

Ze złością posedem na niego i ze złością wróciłem. Co prawda, to było duzo takich ludzi, co naboznie się modlili i porządnie zachowywali, ale widziałem okropnie duzo i takich, co byli inksiejsi! Były tam dzieuchy, co zamiast myśleć o modlitwie, to ino za chłopakami ślipiami wodziły i gęby do nich wykrzywiały. A chłopaki niektóre to samo robiły za dziwkami. Byli tam starsiejsi ludzie, co się w kościele bili w piersi jaze dudniało, a potem śli do karcmy i całą swoją modlitwę przepijali. Były tam i baby, co w kościele płakały, jakby jem nieboscyk tatuś drugi raz umarli, a potem przez cały wiecór obmawiały sąsiadów i sąsiadki jaze strach.

Taka mnie złość wziena na takich odpuśników, ze byłbym ich pazurami darł, bo jak idzies na odpust, to się módl i proś Pana Jezusa o śmiłowanie, a nie, to lepiej siedź w domu i pracuj, jak Bóg przykazał.

Nie zapomnę ja tego odpustu Kaśce ani do wielgi środy!

Z TYGODNIA.

Zdrowie Ojca św. Od kilku tygodni obiegały gazety całego świata niepokojące wiadomości o stanie zdrowia Ojca św. Pisano, że sędziwy, bo 75 lat już liczący papież, cierpi na płuca, których szczyty są zajęte, i stan serca też pozostawia wiele do życzenia. Rozpisywano się już nawet o następcy na Stolicy św. Prawdy było w tem tyle, że Ojciec św. był w istocie słaby przez czas pewien, zwłaszcza z powodu strasznych upałów, panujących w lecie w Rzymie, nie udzielał też posłuchań; obecnie jednak jest już zdrów zupełnie i powrócił do zwykłego trybu pracy i obowiązków codziennych.

† **Kardynał Antoni Gruscha**. W sobotę tj. 5 b. m. zmarł na udar serca kardynał arcybiskup wiedeński ks. Antoni Gruscha w bardzo sędziwym wieku, bo w 91 roku życia. Był to dostojnik wielce dla Kościoła zasłużony. Jako kaznodzieja katedralny przy kościele św. Szczepana w Wiedniu w r. 1855 zasłynął jako jeden z najświetniejszych kaznodziei; jako profesor uniwersytetu wiedeńskiego zaliczał się do najpoważniejszych sił naukowych. W r. 1890 został ks. Gruscha arcybiskupem wiedeńskim, w rok później papież Leon XIII mianował go kardynałem. Do ostatnich prawie chwil zajmował się gorąco sprawami swej archidyecezyi.

Rada państwa w Wiedniu została odroczoną w sobotę 29 lipca po krótkiej, bo zaledwie dwutygodniowej sesyi. Mimo niedługiego trwania tej wstępnej sesyi nowego parlamentu, ten po ukonstytuowaniu się, to jest wyborze prezesa, wiceprezesów, sekretarzy, oraz wyborze komisyj, zdołał uchwalić bardzo ważną, wniesioną przez rząd, ustawę bankową, która umożliwi łatwe porozumienie się Austryi z Węgrami w sprawach bankowych. Do najważniejszych komisyi Izby poselskiej, jak parlamentarnej i innych, wybrano z Koła polskiego najtęższe siły. Posłowie ci z pewnością, rozporządzając znakomitą znajomością przedmiotu, dzielnie bronić będą w komisyach żądań i interesów naszego kraju. Rada państwa na następną sesyę zwołana ma być w drugiej połowie września.

Przeciw żydom w Rosyi. Rosyjski prezydent ministrów Stołypin zwrócił się do ministrów handlu i skarbu z żądaniem, aby urzędy i władze im podwładne wywierały nacisk na banki, w celu odmawiania kredytu żydowskim handlarzom zboża. Stołypin uzasadnił to faktem, że żydzi powodują przez swoje spekulacye zniżkę cen zboża. Jak słychać ministrowie odpowiedzieli, że życzenie prezydenta ministrów napotyka na trudności, gdyż banki, powodując się własnym interesem, nie mogą liczyć się z wyznaniem żądającego kredytu, lecz z tem, czy ten na kredyt zasługuje. Rosya, jak wiadomo, ogranicza prawa żydów w różnych dziedzinach, mimo to jednak jest ich w tem państwie bardzo dużo, a wielu dorobiło się olbrzymich majątków.

Zbrojenia Chin. Chiny olbrzymie, bo koło 400-milionowe państwo, w ostatnich latach bardzo postąpiło w zakresie zbrojeń wojskowych. Postanowił też rząd chiński wobec wzmocnienia przez Rosyę wojsk w Azyi wschodniej, powiększyć swoje siły w Mandżuryi. Wojsko chińskie ma być powiększone do 30 brygad piechoty i 150 pułków artyleryi, prócz konnicy. Wobec tego, iż rząd chiński zdecydował się na takie powiększenie wojska, pomimo złego stanu finansowego kraju, zachodzi prawdopodobieństwo, że położenie w Mandżuryi (kraju, gdzie toczyła się wojna rosyjsko-japońska) jest niepewne i Chiny na wypadki wojenne, które choćby rychło nie nastąpiły, chcą być przygotowane.

KRONIKA.

Od Redakcyi. Tym wszystkim, którym prenumerata już się skończyła a dalszej nie przysłali, jesteśmy zmuszeni wysyłkę *Roli* wstrzymać, wobec czego już następnego numeru nie otrzymają. Kto nie przysyła pieniędzy, ten widocznie albo nie lubi albo nie chce czytać a takiemu szkoda posyłać. W to, aby ktoś nie miał pieniędzy, trudno uwierzyć, gdyż nawet najbiedniejszy na tak drobnę kwotę zdobyć się może. Jeżeli zaś kto pokochał naszą gazetkę i przykroby mu było bez niej, niech bezwłocznie pośle pieniądze a wysyłki nie będziemy wstrzymywać.

Miły podarek. Monarchowie odznaczają zasłużonych ludzi orderami, które obdarowanym sprawiają zapewne wielką przyjemność. Redakcya »Roli« otrzymała w tych dniach może nie tak wspaniały, ale zato cenniejszy upominek, wprawdzie nie od żadnego z monarchów, ale od wdzięcznego czytelnika, rolnika z Wielkopolski. Upominek ów jestto płaskorzeźba, przedstawiająca Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus z rączkami wzniesionemi ku górze, jakby Ono chciało cały świat przytulić do swego serca. Na odwrotnej stronie umieścił ofiarodawca następujący napis:

»Własną pracę ofiaruje Redakcyi »Roli« wdzięczny czytelnik Jan Bielicki z Kaźmierowa w Wielkopolsce«.

Dzieląc się wiadomością o owej miłej dla nas niespodziance z kochanymi Czytelnikami, składamy na tem miejscu serdeczne podziękowanie zacnemu Ofiarodawcy, który w swem poczciwem sercu odczuł ciężką pracę redaktorską i chciał ją taką miłą a cenną niespodzianką osłodzić. Bóg zapłać!

Obywatelski czyn. Z Cieszyna, na Śląsku austr., donoszą do gazet lwowskich, że poseł z okręgu Rzeszów-Kolbuszowa, p. Angerman, zrzekł się dyet poselskich na rzecz Macierzy szkolnej na Śląsku. Macierz właśnie w obecnym roku znajduje się w bardzo trudnem położeniu, gdyż utrzymuje znaczną liczbę szkół, a funduszów jej już na to brak, gdyż ofiarność na szkoły na Śląsku z Galicyi i Królestwa Polskiego znacznie zmalała w ostatnich latach. Na walnem zgromadzeniu Macierzy w Cieszynie postanowiono, jeśli pieniądze w najbliższym czasie nie napłyną, zamknąć kilka szkół. Aby tego nie dopuścić i dzieci polskie nie narażać na zniemczenie, stowarzyszenia i ludzie, przejęci obywatelskim duchem, spieszą z pomocą Macierzy śląskiej. Piękny czyn p. Angermana powinien znaleźć naśladowców.

Wytrucie ryb w Wiśle. Z powodu wypuszczenia z pewnej fabryki powyżej Oświęcimia trujących zlewów do Wisły w dniu 24 lipca wszystkie ryby w Wiśle, na przestrzeni od Oświęcimia aż pod Zator, zostały zatrute. Włościanie wyłowili pływające na powierzchni ryby i całymi wozami odstawiali je do Oświęcimia i do Chrzanowa. Do wytrucia tak wielkiej ilości ryb przyczyniło się i to, że stan wody w Wiśle jest obecnie bardzo niski.

(J. F.) **Zabity przez pomyłkę.** Niejaki Stanisław Pych w Róży, w powiecie pilzneńskim, rozpoczął w ubiegłym tygodniu kłótnię z Górakiem, obrzucając go obelżywemi słowami. Rozwścieczony Pych pobiegł do domu po jakieś narzędzie na swego przeciwnika. Tymczasem żona jego narobiła krzyku, na który wyszedł na drogę sąsiad ich, nazwiskiem Jaje. Pych, myśląc że przybyły jest właśnie jego przeciwnikiem, a było to o 11 w nocy, dopadł go i uciął mu rękę kosą, którą przyniósł ze sobą. Drugi cios zadał nieszczęśliwemu w brzuch. Natychmiast posłano po księdza proboszcza, ale pokaleczony mało już co mówił i wnet ducha wyzionął. Zbrodniarza ujęli natychmiast żandarmi.

Mściwe babsko. Na przedmieściu Czerniowiec, na Bukowinie, mieszka pewna leciwa wdowa, dość zamożna, która mimo poważnego wieku i widocznych na twarzy śladów, że tam »dyabeł groch młócił«, chciała koniecznie wydać się za pewnego młodego jeszcze rzemieślnika. Całe miesiące starała się o niego, zachodziła do jego domu, przynosiła cukierki jego dzieciom, (bo był wdowcem), ale koniec końcem niczego nie wskórała. Wdowiec pozostał głuchym i ślepym na umizgi starej i nieprzyjemnej kobiety i tymczasem starał się o młodą i przystojną dziewczynę.



Po Wielkiejnocy odbył się ich ślub i żyli bardzo szczęśliwie przez szereg tygodni. Mściwość zawiedzionej wdowy wszakże od chwili zawarcia tego małżeństwa nie dawała jej spokoju. Ospowata baba ustawicznie obmyśliwała, jakby zakłócić ich spokojne pożycie, jakby mu się dać we znaki. Aż pewnego razu, dobrawszy sobie kilka serdecznych kumoszek i uraczywszy je hojnie wódką, napadła w nocy młodą kobietę przed jej domem, zakneblowała jej usta, skrępowała ją, a potem wraz z pomocnicami pobiły ją kijami do krwi i nieprzytomności. Wreszcie obcięły jej przy samej głowie długie jasne włosy. Mąż powracając do domu znalazł skrępowaną i bezprzytomną żonę. Oczywiście, że mściwą babę porządnie poturbował, poczem dał znać żandarmom, którzy ją wraz z towarzyszkami aresztowali.

Przysięga na zgromadzeniu wyborczem. O zabawnem zgromadzeniu wyborczem opowiadają ruskie dzienniki. W pewnej wsi kandydat poselski P. P. zamiast wygłoszenia mowy kandydackiej, zjednał sobie głosy włościan w następujący sposób: Wyszedł na trybunę, przeżegnał się, co uczynili też licznie zebrani wyborcy, i zapytał:

— Kto my?

— Rusyny — odpowiedzieli chórem zebrani.

— Podnieście palce do góry! Zebrani podnieśli.

— Kogo chcecie na posła? — zapytał kandydat.

— Was, panie — odpowiedział podmówiony poprzednio agitator kandydata.

Wtedy kandydat zszedł z trybuny, przeżegnał się i na tem wiec się zakończył.

Ludzie pogłupieli i spoglądając na siebie, pytali, na kogo mają głosować.

— A na kogóż, jak nie na kandydata P. Przecież przed chwilą przysięgliśmy na to — rzekł jeden gospodarz.

— A to nas oszukał — rzekł drugi — ale przepadło, przysięgi niewolno łamać!

No i głosowali, choć nie chcieli.

(F. K.) **Pożary.** Dnia 21 lipca około godz. 12 w nocy w Niemieckiej Lutyni, na Śląsku austr., wybuchł pożar w gospodarstwie Wojciecha Łobodzińskiego, który przed paru dniami kupił ten dom od miejscowego księdza proboszcza. Z pożaru nie uratowano niczego, ponieważ z powodu posuchy było wszystko bardzo suche. Jako podejrzana o zbrodnię była wymownica tego domu, która pałała wielką nienawiścią ku Łobodzińskiemu, co ją spowodowało do tak ohydnego czynu, więc ją zaraz aresztowano.

Dnia 27 lipca w Polskiej Lutyni, na Śląsku austr., wybuchł pożar w gospodarstwie Świdra, który był zajęty w kopalni. Ponieważ pożar wybuchnął w południe, więc nim przybyto z pomocą, wszystko stało w płomieniach i część sprzętów zgorzała. Na miejsce pożaru przybyły trzy sikawki, które jednak z braku wody wnet odjechały. Przyczyna pożaru nieznana; przypuszczają, że ktoś umyślnie podpalił, ponieważ dom ten drewniany ledwo że stał, a asekurowany był wysoko.

We środę dnia 2 b. m. o godzinie 5 zgorzało z niewiadomej przyczyny gospodarstwo Ignacego Bogocza, a ponieważ w domu, który był pół drewniany a pół murowany, nie było nikogo, a klucz od drzwi był u sąsiada, a do tego był silny wiatr, więc nie uratowano zupełnie nic. Została tylko krowa, która była na pastwisku. Na miejsce pożaru przybyły sikawki z Polskiej i Niemieckiej Lutyni, które pożar wnet ograniczyły. Ogień powstał z niewiadomej przyczyny.

(F. K.) **Dwadzieścia pożarów.** We wsi Rychwałdzie, na Śląsku austr., właściciele gospodarstw ani dnia nie są pewni dachu nad głową, z powodu bardzo częstych pożarów. Jestto wieś, mająca przeszło 400 domów, a dotychczas było już 20 pożarów. Ostatni z tych zniszczył gospodarstwo Klimozowej, wdowy. Ogień powstał około god. 1 w nocy dnia 31 lipca i zniszczył cały dobytek, gdyż nie uratowano wiele. Ogień został prawdopodobnie podłożony.

(J. T.) **Morderstwo.** W dniu 9 lipca w Jasienicy przy Jaworzu, na Śląsku austr., przyszedł z dwumiesięcznego więzienia niejaki Paweł Paryzek, syn Antoniego, wraz z Joanną Gryń. Ledwie powrócił do domu zamordował on ojca swego w stanie podpitym. Kłótnia rozpoczęła się o to, że syn, który przyszedł z więzienia, miał dostać od kogoś 8 kor., które miał wypożyczone. Ojciec chciał, ażeby mu syn pieniądze oddał na wyżywienie. Mimo, że ojciec był już staruszkiem o siwych włosach, syn nie chciał mu ich oddać. Z kłótni przyszło do bójki, w której syn tak bił, aż zabił ojca, a potem, żeby sobie ludzie myśleli, że się ojciec obwiesił, zawiązał mu powróz na szyję i zawiesił go na wierzbie przy płocie. Tak wisiał do białego dnia, aż rano zawezwano komisyę lekarską, która spisała wszystko i oddała sądowi powiatowemu w Bielsku.

(F. K.) **Pod kołami wozu.** W Niemieckiej Lutyni, na Śląsku austr., parobek w tamtejszym dworze, Ludwik Łopata, posadził swoje 4-letnie dziecko na naładowany wóz. Podczas jazdy dziecko spadło, uderzając głową tak silnie w drogę, że mu czaszka pękła, a do tego dostało się pod koła wozu. Kiedy je przyniesiono do domu, wyzionęło ducha.

(F. K.) **Ofiara wody.** Dnia 24 lipca w Olzie pod Wierzniowicami, na Śląsku austr., utopił się przy kąpaniu 17 letni czeladnik krawiecki, Andrzej Dudysz z Łodygowic w Galicyi. Kąpiąc się, dostał się na głębinę, gdzie utonął mimo wysiłków kąpiących się z nim kolegów.

(J. T.) **Dziw przyrody.** Przed niedawnym czasem miał pewien wieśniak w Rudzicy, na Śląsku austr., prosię, które miało dwie przednie racice jak zwyczajnie a zadnie jak palce u kur i pazury i przeto, że mu się wszystkie palce obracały pod racicę, musiano go trzymać w chlewiku.

Spalił się sam na stosie. Zaprawdę, że obłąkanie umysłu jest najstraszniejszą chorobą i największem nieszczęściem, jakie może spotkać człowieka. Taki biedak, jeśli jest nieuleczalny, stanowi tylko nieszczęście dla otaczających, jest ich postrachem, a w jego chorej głowie roją się niekiedy pomysły i plany, które jemu samemu wkońcu zgubę przynoszą. Gazety wiedeńskie donoszą właśnie o okropnym czynie obłąkanego.



W lesie, o parę mil od Wiednia, służba leśna zauważyła gęsty dym, dobywający się z gąszczu. Gdy doszli do paleniska,. oczom ich przedstawił się okropny widok: na stosie płonącego chrustu ujrzeli zwęglone jakieś zwłoki. Okazało się, że drwal, Karol Krenn, w przystępie obłędu popełnił samobójstwo w ten sposób: nagromadził stos gałęzi, podpalił go i położył się na nim, ginąc straszną śmiercią.

Stary polski żołnierz. W Warszawie żyje, zajmując skromny kącik, 107-letni starzec, nazwiskiem Stanisław Pietrzak, były żołnierz powstania polskiego przeciw Rosyi w roku 1831. Trzyma się, jak na swój wiek, dzielnie. Lubi rozprawiać o dawnych czasach. Gawędziarza otaczają wieczorem grupy sąsiadów jego, ciekawie przysłuchując się opowiadaniom treściwym sympatycznego staruszka. — Staruszek żyje z jałmużny. Jestto jeden z ostatnich wojowników polskich, którzy wchodzili w skład regularnego wojska polskiego, które, jak wiadomo, odznaczało się męztwem i znakomitem wyćwiczeniem.

Klęska bociana. W wielu miejscowościach Królestwa Polskiego zauważono w roku bieżącym brak bocianów. Wiele gniazd bocianich stoi od wiosny pustkami. Przypuszczać należy, iż w czasie przelotu wiosennego spotkała bociany jakaś klęska. Tu i ówdzie z wiosną ukazały się na gniazdach pary bocianie, lecz następnie po jakimś czasie zniknęły, wynosząc się niewiadomo dokąd. Przesądni ludzie poczytują to za jakąś złą wróżbę.

Pożary od iskier lokomotyw. Gazety warszawskie donoszą, że od iskier lokomotyw w wielu miejscowościach Królestwa powstały pożary, powodując znaczne straty. W jednej miejscowości spalił się las na przestrzeni 6200 sążni kwadr., a za lasem wysuszona upałem łąka. W kilku znów miejscach spaliła się pszenica w kopach na wielkich i mniejszych obszarach.

Śmiertelny zakład pijaka. W Bochum, w Prusiech, jeden z górników, Mikołaj Wienciołek, założył się z kolegami, że wypije jednym haustem litr spirytusu rozgrzanego. Zakład stanął, rozgrzano litr spirytusu, ale Wienciołek wypiwszy zaledwie połowę upadł na ziemię Wszelkie środki ratunku okazały się bezskutecznemi. Wienciołek zmarł wśród strasznych cierpień. Nieraz pisaliśmy już w »Roli«, jak bezrozumne a szkodliwe są takie zakłady pijackie.

Sroka złodziejem. Pewien zamożny przemysłowiec na Śląsku Pruskim, stary kawaler, mieszkający samotnie i obsługiwany przez poczciwego i wiernego służącego, padł niedawno ofiarą kradzieży. — Zginął mu z pokoju duży, brylantowy pierścień, dla niego tem większej wartości, że była to pamiątka po ojcu. Kradzież była bardzo podejrzaną, zwłaszcza, że pokój w którym spał i zostawił w nim przez zapomnienie pierścień na biurku, wychodząc z domu zamknął na zamek amerykański, jak to zwykł zawsze czynić, gdyż w pokoju tym miał również kasę wertheimowską. Gdy popołudniu przyszedł do domu ze swego kantoru, na biurku pierścienia nie było, służący zaś, będący w dalszych częściach mieszkania, o niczem nie wiedział, mówił, że nikt nie przychodził, zamek też był nienaruszony.



Udał się więc o pomoc do policyi. Wydelegowano bardzo sprytnego ajenta, który odrazu stwierdził, że służącego o kradzież posądzać nie można, zrazu jednak na żaden ślad sprawcy wpaść nie mógł. Po kilku dniach przyszedł do owego przemysłowca, raz jeszcze o wszystko wypytywał, a zauważywszy okno od pokoju otwarte, choć deszcz padał i było chłodno (mieszkanie było na II piętrze) zapytał poszkodowanego, czy w dniu kradzieży okno zostawił otworem. Ten potwierdził, że zawsze tak czyni w lecie, wychodząc z domu. Ajent pomyślał chwilę, wreszcie rzekł: »Zdaje mi się, że złapiemy złodzieja. Niech pan jutro na mnie czeka u siebie«. Jakoż nazajutrz przyszedł, przyniósł z sobą tani, z żółtej blaszki pierścionek ze szkiełkiem, położył go na biurku i poprosił przemysłowca, by wyszli do dalszych pokoi, zostawiając drzwi otwarte Czatowali tak w milczeniu z półtorej godziny, gdy wtem posłyszeli skrzeczenie sroki, która siadła na oknie i obejrzawszy się przezornie, czy kogo niema, porwała z biurka pierścionek i uciekła. »Oto złodziej«, rzekł agent. Zapewne, że ta sroka ukradła pierścień, ale czy policya ją wyśledzi i pierścień odbierze? Skrzydlatych złodziei łapać trudniej, niż dwunożnych.

Zamurowana przez 16 lat w piwnicy. — W miejscowości Neu-Ethling w Bawaryi wykryto ohydną zbrodnię. Żona niejakiego Katzenmeiera zamurowała z wiedzą i pomocą męża siostrę Franciszkę Huber, którą jej matka oddała na wychowanie, w piwnicy i trzymała ją tam przez 16 lat, aż do niedawna. Na miejsce udała się komisya sądowa. Kiedy otwarto drzwi do piwnicy malutkiej, bo mierzącej półtora metra wszerz, a dwa metry wzdłuż, członkowie komisyi aż się zatoczyli, taki stamtąd buchnął smród. Przy świetle latarni zobaczono w piwnicy na barłogu ze słomy leżącą postać niewieścią, wychudłą jak szkielet, pławiącą się we własnych wydzielinach. Nieszczęśliwa nie była w stanie się poruszyć. W tej piwnicy, zupełnie ciemnej, bo nigdy znikąd nie doszedł tam promień słońca, przeżyła nieszczęśliwa ofiara własnej siostry 16 lat w gnoju, błocie i chłodzie, bo w zimie nawet nie zapalono jej bodaj pod drzwiami, by się ogrzała. Pożywienie podawano jej przez malutki otwór w drzwiach, który jednak stale zamykano. Nieszczęśliwa, naga zupełnie, przywiązana była za nogi do drzwi piwnicy. Gdy ją wyniesiono na świat, nieszczęśliwa krzyknęła przerażona; zlękła się światła dziennego, które ją oślepiło, bo go nie widziała 16 lat. Na pytania odpowiadała słabym głosem, że się boi mówić, gdyż ją siostra będzie za to biła. Takie to potwory ludzkie, jak owa Katzenmeirowa i jej mąż, bez odrobiny sumienia, bez wszelkich ludzkich uczuć, znajdują się jeszcze na świecie, a zbrodnie ich bezecne wychodzą na jaw częstokroć tylko dzięki przypadkowi.

Znieważenie zwłok. W jednym ze szpitali w Petersburgu istnieje zwyczaj, że od pogrzebu każdego zmarłego biedaka stróż szpitalny otrzymuje pewne wynagrodzenie z funduszów szpitalnych. Niedawno zmarła na raka żona stójkowego 47-letnia Lukerya Michajłowa. Po dokonaniu sekcyi zwłoki polecono pogrzebać stróżowi, Bazylemu Udałowowi. W tym samym czasie w szpitalu powiła martwe niemowlę żona pracownika handlowego W. Trupka niemowlęcia polecono pogrzebać również stróżowi Udałowowi. Tego samego dnia wieczorem zgłosił się do szpitala pracownik W., a dowiedziawszy się, że żona jego powiła, zwrócił się do kancelaryi szpitalnej, aby mu wydano zwłoki niemowlęcia w celu sprawienia pogrzebu. Pana W. odesłano do Udałowa, który zgodził się wydać zwłoki pod warunkiem, że dostanie rubla. W. dał mu żądaną kwotę i wówczas stróż zaprowadził go do trupiarni. Tutaj Udałow z najzimniejszą krwią podszedł do trumny, w której złożone były zwłoki Michajłowowej, zdjął całun i w oczach W. przeciął zaszyty brzuch nieboszczki, skąd za nóżki wyciągnął trupka nieżywo urodzonego niemowlęcia. Przerażony W. uciekł z trupiarni i pobiegł do policyi. Wyznaczony na śledztwo rewirowy stwierdził, że stróż szpitalny po otrzymaniu z zwłok Lukeryi Michajłowowej, ułożył je w trumnie, wyrzucił z brzucha zmarłej wnętrzności, a na miejsce ich wsadził zwłoki niemowlęcia, poczem zaszył brzuch zmarłej kobiety. Tym sposobem miał urządzić jeden pogrzeb a wziąć wynagrodzenie za dwa. Z dalszego dochodzenia okazało się, że Udałow praktykował ów sposób od dawna i stale z dwóch trupów robił jednego.

Zaprzągł żonę do wozu! Pewien włościanin rosyjski, zamożny gospodarz, jechał niedawno temu z żoną do sąsiedniej wsi dla zgodzenia służącej. Powracając, zdało mu się, że jedzie zbyt wolno, wyprzągł więc konia a zaprzągł do dyszla jadącą razem z nim żonę. Biedna kobieta błagała o litość, ale mąż był nieubłagany i wpadając w coraz większą zaciekłość, pędził w dalszym ciągu żonę i bił ją biczem. Po przejechaniu w ten sposób około 3 wiorst, zaprzągł znowu wyprzężonego konia. Wypadek ten jest przykładem strasznego zdziczenia rosyjskiego ludu.

Znęcanie się nad więźniami w Rosyi. — O doli więźniów w rosyjskich więzieniach pisaliśmy już kilkakrotnie. Obecnie znów jedna z gazet rosyjskich opisuje nieludzkie obchodzenie się administracyi więziennej z więźniami, zatrudnionymi przy budowie kolei amurskiej w osadzie Razdolnyj. — Dla utrzymania uroku władzy naczelnik oddziału w Razdolnem, Leonowicz, podczas pracy kładzie trupem aresztanta za grubiańską odpowiedź. Aresztanci udają się do pracy bardzo chorzy. Były prezes Dumy, Guczkow, który oglądał ludzi zajętych przy budowie kolei amurskiej, stwierdził epidemiczne panowanie szkorbutu w ostrej formie. Pożywienie nadzwyczaj marne, mięso zgniłe, a kasza stęchła. Partya ciężko

chorych aresztantów, znajdująca się w etapie Czasowinskaja, w przeciągu ośmiu dni nie otrzymała ciepłego pożywienia dlatego, że naczelnik partyi, niejaki Anieszkow, pieniądze zabrał i w drodze ulotnił się, pozostawiając chorych na łaskę losu. Podczas oględzin chorych aresztantów znaleziono jednego, który umierał z głodu i wyniszczenia. W takich warunkach nic dziwnego, że ucieczki aresztantów są na porządku dziennym. W przeciągu półrocza z 2000 uciekło 130 więźniów.

Ładnie się poprawili! Zakłady poprawcze dla małoletnich są bardzo pożyteczne, młodociani bowiem przestępcy, oddawani do takich zakładów, a nie do więzień, mogą z powrotem wejść na uczciwą drogę, nie psuci złem towarzystwem starszych aresztantów. W zakładzie poprawczym dla nieletnich przestępców, w Odessie, nie bardzo widocznie moralne nauki wychowawców trafiały do przekonania przebywających tam chłopców, gdyż niedawno temu dopuścili się zbójeckiego uczynku. Dziewiętnastu chłopców, należących do zmowy, gdy reszta wychowanków udała się na spoczynek, dokonało w nocy napadu na dozorcę Łyskowa. Wtargnęli jak bandyci do jego pokoju i zadali mu nożami, kijami i pięściami wiele ran. Mniemając, że Łyskow umarł, napastnicy nakryli go prześcieradłami i chcieli umknąć, ale dozorca podniósł się i wybiegł w bieliźnie na podwórze. Tam na krzyk jego zbiegła się służba i zmusiła wszystkich do powrotu. Stan Łyskowa jest beznadziejny. Nieletni bandyci należą widać do tego rodzaju ludzi, których zakład poprawczy nie poprawi.

Pokazał Moskwę. Pewien obywatel w Petersburgu do nauki dwóch 7-letnich synków bliźniaków przyjął młodego nauczyciela. Raz po obiedzie dzieci ze swym nauczycielem poszły przejść się do ogrodu. Jeden z chłopców prosił nauczyciela, ażeby ten wziął go na ręce.

— Chcesz, to pokażę ci Moskwę — rzekł nauczyciel.

Chłopiec zgodził się chętnie. Nauczyciel chwycił dziecko za głowę koło uszu i podniósł je w powietrze, zapomniawszy uprzedzić, ażeby ten trzymał się za jego ręce. W powietrzu ciało chłopca kilka razy drgnęło, lecz nauczyciel nie zwracał na to uwagi i trzymał jeszcze jakiś czas dziecko w powietrzu. Kiedy wreszcie opuścił je już na ziemię, chłopczyk upadł i leżał bez oznak życia na twarzy. W tejże chwili do ogrodu wszedł ojciec dzieci.

— Coś pan z nim zrobił? — spytał zatrwożony.

— Nic, ja tylko pokazałem mu Moskwę — odrzekł nauczyciel.

— Co? jaką Moskwę?

Tutaj nauczyciel, chcąc pokazać niewinność swej sztuki, wziął podobnież za głowę drugiego chłopca i również podniósł go w powietrze. Kiedy zaś opuścił go znowu, chłopiec padł na ziemię nieżywy. Nieszczęśliwy ojciec rzucił się do dzieci, lecz leżały już przed nim tylko dwa trupy. Nauczyciel, ujrzawszy co się stało, dostał pomieszania zmysłów. Lekarze u obu chłopców stwierdzili pęknięcie kręgów szyjowych, spowodowane ciężarem ciała podczas »pokazywania Moskwy«.

Dowcipny złodziej. O niezwykłym łajdackim figlu złodziejskim opowiadają gazety francuskie. — W jednem z większych miast we Francyi zjawił się w sklepie, gdzie sprzedawano miód, pewien elegancki jegomość w cylindrze i zażądał dwa kilo miodu.

— Ależ nie ma pan na miód żadnego naczynia, rzekł kupiec.

— Owszem mam, odparł przybyły, i wskazał na swój cylinder. Kupiec zrobił wielkie oczy i uśmiechnął się, sądząc, że to żart. Jednakże przybyły obstawał przy swem życzeniu, dodając, że założył się z przyjacielem, iż przyniesie mu w cylindrze dwa kilo miodu. Kupcowi nie pozostawało nic innego jak zastosować się do życzenia gościa; w chwilę potem całe wnętrze cylindra wypełnił lepki i słodki płyn. Przybyły wyciągnął pulares, a wydobywszy zeń banknot tysiącfrankowy, położył go przed kupcem. Ten ostatni, nie posiadając w podręcznej kasie pieniędzy na zmianę banknotu, otwarł biurko i wydobył duży, naładowany banknotami pulares. Wtedy stała się rzecz wielce zabawna. Oto nieznajomy szybkim ruchem włożył kupcowi na głowę swój cylinder z miodem, a sam wyrwawszy mu z rąk pieniądze, pospiesznie się oddalił. Na ślad śmiałego złodzieja nie natrafiono, gdyż sporo czasu upłynęło, nim kupiec, któremu oczy i twarz zalał gęsty miód, zdołał wydobyć głowę z pod cylindra.

Małpa na latawcu. Świadkami niezmiernie zabawnego widowiska byli niedawno w Medyolanie, we Włoszech, liczni widzowie, których młody porucznik Lamellino chciał zapoznać ze zbudowanym przez siebie latawcem. Pomiędzy widzami znalazł się także cygan z małpką, która zaledwie się latawiec wzniósł, wskoczyła do aparatu. Lotnik, który nie spostrzegł odrazu, co się dzieje za jego plecami, nie mógł zrozumieć, co może być powodem salw śmiechu publiczności; aż dopiero niewytłómaczone chwianie się latawca zwróciło jego uwagę na nieproszonego gościa, który, nie bacząc na niebezpieczeństwo życia, popisywał się koziołkami i różnemi innemi sztuczkami, tak, że nie pozostawało nic innego, jak tylko wylądować i pozbyć się towarzysza.

Złodziej pochwycony na sznur. Gazety amerykańskie rozpisują się o niezwykle dzielnej i odważnej pannie, która schwytała złodzieja poprostu jak psa, na stryczek. Zdarzyło się to w Nowym Jorku. Panna ta pewnego popołudnia siedziała sama w sklepie z żelazem, będącym własnością jej brata. Wtem otwarły się drzwi i wszedł młody, silny mężczyzna z workiem żelaziwa na plecach, postawił na ziemi worek, rozwiązał i wyjmując różne przedmioty z żelaza, zachęcał młodą kupcową, aby co od niego nabyła. Ta zauważyła, że wśród przyniesionych rzeczy przez nieznajomego są skradzione niedawno ze sklepu brata. Odparła zatem szorstko, że przedmiotów przynoszonych przez obcych handlarzy wogóle nie kupuje, zwłaszcza zaś takich, które pochodzą z kradzieży w tym właśnie sklepie.



Nieznajomy się obruszył, twierdząc, że niczego nie kradł ani od złodzieja nie kupował i zarzuciwszy sobie worek na plecy, zabierał się, sapiąc z oburzenia, do wyjścia. Tymczasem dzielna dziewczyna, wziąwszy leżący pod ladą sznur, szybko zrobiła pętlę, w oka mgnieniu zarzuciła ją na szyję odchodzącego i pociągnęła z całej siły tak, że duszony złodziej upadł na ziemię. Zanim mógł przyjść do siebie, poskoczyła do telefonu, zawołała policyi i ta dopiero uwolniła go od sznura, lecz wpakowała do kozy. — Obrazek nasz przedstawia ten ciekawy wypadek.

Śmierć wychodźcy. Bardzo bolesny wypadek zdarzył się w przytułku dla emigrantów pod Nowym Jorkiem, gdzie umarł St. Kubik, przybyły z Austryi. Kubik, 63-letni starzec, przybył tu ze swoją żoną do familii, by na stare lata odpocząć przy dzieciach. W Ameryce miał sześciu żonatych synów i cztery zamężne córki. Staremu Kubikowi nie chciała komisya dozwolić wstępu na ląd, gdyż, jak powiadała, jest za stary. Odstawiono go z żoną na bok i miano odesłać do Europy. Usilne jednak starania, jakie poczynili synowie starca, zostały uwieńczone tym skutkiem, że ostatecznie zgodzono się wyjątkowo dozwolić staremu lądowania, tymczasem jednak Kubik ze zmartwienia zachorował, przeziębił się nadto i po trzech dniach męczarni zmarł.

Ucieczka złodzieja balonem. Prawdziwie amerykańską historyjkę o pewnym złodzieju opowiadają dzienniki. Podczas zabawy ludowej w miasteczku Sayre, w stanie Oklahama, publiczność ujęła na gorącym uczynku kradzieży złodzieja kieszonkowego. Rzezimieszek jednak wyrwał się prześladowcom i pod wpływem strachu o własną skórę zmykał tak rączo, że wyprzedził znacznie goniących go obywateli. W tej chwili właśnie w innej części pola zabaw miał się odbyć wzlot balonu. Złodziej, ujrzawszy balon gotowy do wzlotu, rzucił się ku niemu, wskoczył do łódki i zagroziwszy kierownikowi balonu rewolwerem, zmusił go do wydania rozkazu, aby puszczono liny balonu, który wzbił się jak piłka w powietrze i poszybował w przestworze. Dopiero, gdy znalazł się nad terytoryum stanu Teksas, złodziej kazał kierownikowi balonu opuścić się na ziemię, a zaledwie kosz balonowy dotknął powierzchni ziemi, rzezimieszek wyskoczył z niego i uciekł, balon zaś, pozbawiony części ciężaru, poszybował dalej.

Kobieta sekretarzem w ministerstwie wojny. W Europie jeszcze niema takiego sekretarza w spódnicy w żadnem ministerstwie; znajomość sztuki wojennej posiadają wyżsi wojskowi w dostatecznej mierze. Ale w Ameryce znajduje się taka pani w stolicy Stanów Zjednoczonych, w Waszyngtonie i jako sekretarz pobiera wysoką pensyę, bo 12.000 koron. Jak twierdzą pisma amerykańskie, zna się ona wybornie na sprawach wojskowych i jest pierwszorzędną urzędniczką.

Ukarany zazdrośnik. Pewnego właściciela folwarku w Ameryce znaleziono martwego koło mostu, prowadzącego do jego mieszkania, w otoczeniu czterech wężów, przywiązanych do skał za pomocą klamer. Człowiek ten był strasznie zazdrośny, tak że przed paru laty kupił węże i umieścił je na drodze do swego mieszkania, aby odstraszyć nieproszonych gości od pięknej żony. Tymczasem, upiwszy się, wpadł przy przechodzeniu mostu pomiędzy węże, które go pozbawiły życia. Straszną karę poniósł za swe grzechy!

Policya w walce z muchami. W Bostonie, mieście północnej Ameryki, policyanci w liczbie 1500 otrzymali rozkaz tępienia much wszelkimi sposobami. Zamiast pałek mają oni teraz siatki, któremi łowią i niszczą muchy, gdzie się tylko da. Zabawne widowisko mają mieszkańcy tego miasta: policyantów łapiących muchy! A złodzieje kieszonkowi z pewnością zacierają ręce z uciechy.

Pożary lasów w Syberyi. W okolicy Władywostoku wybuchły wielkie pożary lasów, które objęły około stu wiorst kwadr. i sięgają aż po wybrzeża. Pastwą pożaru padły stare lasy modrzewiowe, sosnowe i dębowe. Upał z powodu pożaru był tak wielki, że pękały skały granitowe, a w stokach górskich potworzyły się wielkie szczeliny.

Odezwa. Z Trzciany koło Rzeszowa piszą nam: Komitet zorganizowany w Trzcianie postanowił zająć się sprawą niezmiernej doniosłości, mianowicie sprawą składek groszowych celem niesienia pomocy zagrożonej w swoim bycie »Macierzy szkolnej« cieszyńskiej. W sprawie tej, pragnąc dać inicyatywę do podobnej patryotycznej akcyi innym miejscowościom, postanowił wspomniany komitet urządzić dnia 15 sierpnia b. r. **wiec oświatowy**, na który wszystkich szczerych Polaków najserdeczniej zaprasza

Komitet.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP. Teofil Tryczyński w N.: Wierszyk dobry, lecz do obecnego numeru przyszedł zapóźno. Może znajdzie miejsce w kalendarzu, a jeżeli nie to schowamy go do przyszłego roku. — W. Więcław w N.: Marki gazetowe może sprzedawać tylko główna poczta, gdzieindziej nabywać nikomu niewolno. Wiersz będzie ale kiedy, trudno oznaczyć. — Jan Bylica w P.: Prenumeratę liczymy od 1 lipca 1911 do 1 lipca 1912, od środka kwartału trudno prenumeratę rozpoczynać, gdyż to robi nam wiele kłopotu, a czytelnikom brakby było początku pięknych powieści. Niektórych numerów z pierwszego półrocza brak nam zupełny, więc i powieści w niem drukowane nie byłyby zupełne. Za miłe słowa uznania serdeczne dzięki. — Antoni Bartman w U.: Nadesłany wierszyk dobry i chętnie go umieścimy, gdy miejsce będzie. — Jan Burdak w Ł.: Zagadki dobre. Maciek za pozdrowienie dziękuje. — Firlejczyk Józef w R.: Dobre — będą. A kiedy koniec nauki? — Rudolf Hetper w S.: Brakujące numera wysłaliśmy — należy się 30 hal., zaś za zmianę adresu 40 h. Jósef Wiśniowski w W.: Panu Zamorskiemu »Rolę« wysyłamy najregularniej. Niech zbada na miejscu, gdzie ginie. My z swej strony wysyłamy reklamacyę do c. k. Dyrekcyi poczt. Potwierdzenie prenumeraty było w nrze 29 »Roli«. — Arkadyusz Szarek w S. W.: Nadesłany utwór dobry — dziękujemy. — Stefania Szybowiczówna w Ż.: Nadesłane wierszyki dobre a tylko przez skromność twierdzi Pani inaczej. — Wojciech Węgliński w B.: Nadesłany wierszyk z małemi poprawkami umieścimy, gdy tylko miejsce na to pozwoli. — Andrzej Czachor w C.: Wszystko otrzymaliśmy a najlepszą odpowiedzią było umieszczenie zagadek. Wiersz również będzie. — Władysław Biedroń w P.: Wierszyk otrzymaliśmy i, o ile miejsce na to pozwoli; będziemy starali się go wydrukować.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Potwierdzenia prenumeraty:

Prenumeratę półroczną po dwie korony przysłali PP.:

Niemiec Walenty z Z., Łukasik Bronisław z M o., Dostal Emanuel z K., Rodzeń Wincenty z K., Moskalski Wacław z T., Mayer Jan z L., Młot Franciszek z T., Łukawski Tomasz z T., Frankowski Stanisław z G., Kuzniar Marcin z A., Baran Jakób z B., Piwowar Stanisław z P., Zawada Józef z S., Zwiercan Antoni z K., Kwiczala Alojzy z S., Trojan Paweł z P., Guzek Jan z S., Przybyła Józef z O., Lach Adolf z S., Kozyra Antoni z B., Gąsiorowski Stanisław z D., Świszawski Ignacy z W., Kwiecień Józef z R., Waksmudzki Wojciech z W., Jabłońska Katarzyna z T., Kurnik Wojciech z S. N., Dragon Paweł z P. L., Halfar Albin z P. L.

Oprócz tego nadesłali PP.: Lewandowski Wincenty z N. S. (4 K.), Korecki Izydor z D. (2 K. 50 h.), Jan Rażny z B. (3 K.), Talicki Jan z Z. (1 K.), Librant Michał z B. (4 K.), Krzyżak Józef z T. (1 K.), Bylica Jan z P. (4 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 8 sierpnia:

Buhaje	Kor.	80	do	400	za sztukę
Woły	„	250	„	400	„
Krowy	„	140	„	210	„
Jałówki	„	100	„	210	„
Cielęta	„	30	„	80	„
Owce i kozy	„	20	„	20	„
Świnie (bita waga)	„	136	„	150	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 8 sierp:

Pszenica	Kor.	11·45	do	11·60	za 50 kg.
Żyto	„	8.50	„	9·—	„
Jęczmień	„	8.—	„	8·30	„
Owies	„	8·—	„	8 60	„
Otręby pszenne	„	6·40	„	6·50	„
Otręby żytnie	„	6·35	„	6·50	„

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

(Ułożył Józef Kulka z B.).

Byłem raz na świecie
Dobrze o tem wiecie,
Com zdziałał, zgadniecie,
Bom był groźnym przecie,
Moje nazwisko, tak z przodu jak z tyłu,
Po mnie ni śladu, ni życia, ni pyłu.

2. SZARADA.

(Ułożył Arkadyusz Szarek z S. W.).

Są pierwsza, druga, trzecia u przedmiotów [wielu,
Znajdzie się czwarta z drugą i u dzieci małych
Całość imię; bardzo się rzadko u nas zdarza,
Kto chce znać je, niech zajrzy więc do ka-[lendarza.

3. ZAGADKA.

(Ułożył Wojc. Jaworski).

Od stworzenia świata żyję choć nieżywy,
Choć jestem tak stary i z starości siwy,
Przeto jestem twardy i zmięknąć nie myślę,
Zgadnijcie co ja jestem a książeczkę przyślę.

4. SZARADA.

(Ułożył W. Lewandowski z L.).

Pierwszem dziecię nas pozdrawia,
Pierwsze drugie pcha maszyny,
Drugie trzecie ból nam sprawia,
Całość to nazwa krainy.

5. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Wawrzyniec Pietruch z Rz.).

. . . . .
. . . . .
. . . . .
. . . . .
. . . . .
. . . . .
. . . . .

W miejsce kropek wpisać litery tak, żeby dały następujące wyrazy:

1. Miasto w Galicyi. 2. Województwo polskie. 3. Miasto w Galicyi. 4. Drzewo. 5. Posag. 6. Miejscowość w bok Krakowa. 7. Wydobywa się z ognia. 8. Tłuszcz.

Litery czytane środkiem z góry na dół dadzą nazwisko poety polskiego.

6. SZARADA.

(Ułożył Górnik).

Pierwszego trzeciego pewnie wszyscy znacie,
Chociaż jego wszyscy, wiem, nie posiadacie,
Dawnemi to czasy na drugie wbijano
Schwytanych żołnierzy i tak ich męczono;
Tę szaradę prędko, wiem, że rozwiążęcie,
Chociaż też i wszyscy w nią iść nie możecie.

7. SZARADA.

(Ułożył Franciszek Wolf z P. L.).

Pierwsze litera, lecz bardzo zmiękczona,
Drugi klei kopertę, gdy niezaklejona.
Cały zwierzę czworonożne
A czasami i dwunożne.

8. SZARADA.

(Ułożył W. Lewandowski z L.).

Pierwsze trzecie to rzeczy stare lub zużyte,
Drugiem trzeciem bywają często drzwi obite,
Trzecie czwarte wysokie, cienkie i drewniane,
A całość — to nauka, jak ułożyć zdanie.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 20 sierpnia 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nr. 30 *Roli*: 1. Szarada: **Fasola**, 2. **Jamajka**, 3. **Polewka**, 4. **Materace**, 5. **Baran**.

* * *

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:

Rudolf Kula z M. K., Teper Franciszek z M. K., Jan Moś z Cz., Zygmunt Bogdański z J., Jan Babiarz z W., Józefa Hirszberg z K.

* * *

Pierwszą nagrodę p. t. ***Na wsi*** wylosował p. **Franciszek Teper** z M. K., zaś druga p. t. ***Niebieski ptak*** p. **Jan Babiarz** z W.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara**

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.